

# Rymowanki



Leszek Żuliński

# Rymowanki

OFFICINA  
WYDAWNICZA  
**STON 2**

Pomysł okładki i zdjęcie na okładce – *Autor*  
(rzeźba Christela Marotta  
sfotografowana w Stuttgarcie;  
oryginał w zbiorach Royal Copenhagen)

Redakcja  
*Irena i Stanisław Nyczajowie*

Korekta  
*Irena Pielińska*

Opracowanie komputerowe  
*Paweł Nyczaj*

© Copyright by Leszek Żuliński, 2010

ISBN 978-83-7273-260-6

Oficyna Wydawnicza „STON 2”  
Kielce 2010, wydanie pierwsze

Druk i oprawa: KARAD, Kielce, ul. Kaczmarka 16

Adres Wydawnictwa  
25-411 Kielce, u. Kasprowicza 1/20  
tel 412433504, e-mail: nyczaj@pro.onet.pl

## Artyści

**A**rtyści w dawnych czasach, może o tym wiecie,  
chodzili w pelerynie i w czarnym berecie.

W palcach kręcili laską lub srebrną dewizką,  
a do wód wyjeżdżali z skórzaną walizką

zwaną też sakwojazem, choć w pugilaresie  
nędza jak mysz piszcziała. Fama dziś się niesie,

że pili okowitę, absynt oraz alasz,  
czym przeszedł do legendy pewien z Boya malarz.

Mieszkali na poddaszach, w suterrenach, norach  
i budzili się raczej w przedwieczornych porach,

opium ich odurzało, a tuberkuloza  
wywoziła w głąb zimy na kaszlących łozach...

Dużo wiemy, a jednak zbyt wiele nie wiemy  
o udęcie tej pijanej swym bólem bohemy,

jej waporach, smętnicach i nocnych koszmarach,  
które śniła za życia prawie jak na marach

i tylko sen ten ostał się po nasze czasy,  
a oni już za górą, już za siódmym lasem.

My dopiero idziemy, rozdrażniając piórem  
w ślepej logice losu nielogiczną dziurę

lub pędzlem wytyczając na płótnie materii  
ścieżkę, która nas wiedzie do antimaterii,

albo sonatę tworząc, zgoła księżycową,  
choć nawet pod sufit nie sięgamy głową.

Pan Bóg z góry się patrzy i grozi nam palcem  
za te mało taktowne, heretyckie harce.

Ale jak wierzyć w Boga, w Sztukę, w Nieśmiertelność,  
skoro wszędzie mrok, próżnia i licha przyziemność...

## Rana wiersza

**W**iersz jest czasem jak rana. Nie chce się zagoić.  
Krwawi. Sinieje. Boli. W nocy rwie i swędzi.  
O, zlitujcie się nad nim wszyscy wiersza święci  
i pozwólcie mu w druku pięknie się podwoić.

Wykwitnąć z rany różą, wykrzyczeć milczeniem,  
drzazgą wejść w czyjeś serce, nie zamilknąć nocą,  
nad ranem niech się po nim jak w piekle szamocą  
zachwyty i koszmary, lęk i przeznaczenie.

Czasem powinien umieć wspiać się po drabinie  
i gwiazdy zrywać z nieba prosto do koszyka,  
potem je pleść w sonety, póki srebrność płynie

jakby Bóg grał na fletni lub na okarynie,  
która w bezduszną ranę sączy się, przenika  
i tam zastyga perłą. Wtedy wiersz nie minie.

## Żniwa

Siedzę na wsi. Już sierpień. Dobiegają żniwa.  
Dom, żona, dzieci – z dala. Słońce opowiadam.  
I pojawia się w blasku ta litewska grzywa...  
Zaraz potem Różewicz. I Ziemiańcin Adam...

Styczeń zakuty w dyby. Kawiński z Śliwiakiem,  
Bursa, Wojaczek, Ratoń, Jerzyna, Żernicki,  
Stachura płąsa z Brunem dziwnym kujawiakiem...  
Górec z Nikosem... Herbert... chochoł i... Krynicki.

A za żniwnym kombajnem w sukmanę odziany  
kroczy Urgacz. O!, jemu kłaniają się nieba!  
Potem Norwid i Leśmian. I polskie bociany,  
które liczą na okruch ojczystego chleba.

*Słopsk, 10 sierpnia 1996*



## Psie gwiazdy

Sierpniowa noc. Już lato ma się ku zmierzchowi.  
Syriusz, psia gwiazda, znika podkulając ogon,  
kot Stefan jednym uchem granie świerszcza łowi,  
pies śpi... Cisza. Na stole śledzie i samogon.

Ciężko zwisa ma głowa. Od bezbrzeżnej pustki  
zaraz wyekspłoduje niczym supernowa,  
lecz w deszczu pijanych komet, w srebrze rybiej łuski  
nic już się nie rozjaśni. Bo światło się chowa.

Głowa z hukiem wlatuje, hen, ku czarnym łąkom  
w pościgu za gwiazdami chyża jak pies gończy.  
Oto jest mej codziennej kosmogonii obrzęd  
póki wódka na stole i śledź się nie skończył.

*Słopsk, 19 sierpnia 1996*

## Koniec lata

Jeszcze jeden wiersz latem pisany na stole.  
On będzie o jesieni. Bo jesień u progu.  
W oborze grube świnię, późniwne w stodole  
I ja – gdy noc zapada – w pijanym barłogu.

Wiercę się z boku na bok i zasnąć nie mogę,  
niebo wielką łopata zrzuca na mnie gwiazdy,  
próbuję złapać oddech pod złotym obrokiem  
i ruszyć z piskiem opon toyoty lub mazdy,

lecz za pierwszym zakrętem niebieski policjant  
każe mi dmuchać w wrześniowy balonik.  
Lato pęka! I pękam – nędzny koalicjant –  
ja, który z latem pijąc, zimy nie dogoni.

*Słopsk, 31 sierpnia 1996*

## Sonet

Sonet powinno się dziergać szydełkiem,  
Laure powinno się pieścić modlitwą,  
to tak, jak gdyby czuły fryzjer brzytwą  
ostrzył swą sztukę o skórzaną szelkę

lub szklarz, co w szybie rzeźbi białą różę  
w pełni rozkwitu na zimowym stoku,  
którą zobaczył ktoś w sennym widoku,  
komu się śniły zamorskie podróże

i z dała dziwna, niebiańska latarka  
kazała mu iść aż do kresu nocy  
za cieniem Laury, który koronczarka

snuła z pajęczyn. Lub jakaś malarka  
tknęła w ekstazie dotykiem proroczym  
majak nadziei... *Saluto, Petrarca...*

## Canzona czarna

Usiądź przy klawesynie, moja piękna damo,  
poćwiczmy canzony nieco nostalgiczne,  
tu, w Weronie, z balkonów śpiewa się to samo  
co zawsze, byle było skoczne i liryczne.

Najpierw canzonę białą niczym śniegi w Alpach,  
co proszą się na rzęsy, schładzają krew w żyłach,  
gdy już zechcą się wspinać po twych stromych skarpach,  
canzona się zakończy... ocalejesz, miła.

Potem graj karminową. Róża pąsowieje,  
oddech mój jak szalony błądzi po twojej sukni,  
palce jak psy myśliwskie... Zanim posiwieję  
ty mi z owej obławy czasami nie umknij...

Teraz canzonę czarną. Koniec polowania!  
Już zagończycy losu niosą mnie na drągu;  
będzie bigos i wódka; las się wokół słania,  
a po stypie Pan czeka w pijanych gwiazd przeciągu...

## Wielkanoc 2007

**K**witną na wierzbach pierwsze bazie,  
baranki kwietnia pasą się na niebie,  
popatrz, kochana, jak w ekstazie  
piszą się wiersze te moje dla ciebie.

Popatrz, jak klują się po nocach,  
aby na jutrznię być gotowe  
i przejrzyć się w twych modrych oczach,  
i wiankiem spowić twoją głowę.

A ja obgryzam paznokiec ołówka,  
by jego grafit po kartce się toczył,  
z ziemi podnosi się piachu makówka,  
w niej już dojrzewa czarny brokat nocy.

W palcach już wschodzi długopisu włócznia,  
w mój bok się wbija, aby krwi utoczyć;  
zasuń firany, niech nie patrzy jutrznia  
jak mi posypiesz tym piachem na oczy,

jak weźmiesz moją głowę na swoje kolana  
i grzebień dłoni wsuniesz w rozwichrzone włosy,  
moja Euterpe, moja ukochana,  
biegnę do ciebie prze ogrójec – bosy,

z gwoździem w śróddłoni, z cierniem w skroni,  
z kroplą piołunu na spękanych ustach,  
przytul mnie, Muzo, weź w kołyskę dłoni  
kąkol mej głowy, półmrok mego lustra

i owiń moją nicość czernią swoich włosów,  
a potem kołysz, Pieto, swego wierszokletę,  
niech wierzby ronią bazie, wiosna wschodzi z kłosów  
i z obumarcia wskrzesza do życia podniebę.

## Psalm weselny

(naśladowanie Tadeusza Nowaka)

**B**iegnę przez pole skoszone o jutrzni,  
za mną psy nasze już dawno zjedzone,  
Herod się śmieje oparty na włóczni,  
Hiob popiół sypie w lata me stracone.

Biegnę do ciebie w brzożach bielejącej  
przez sen, przez piasek pod oczyma kruchy,  
za mną podąża niedźwiedź kulejący,  
sarny, daniele, borsuk i dwa kruki.

To moje druhy, moje wierne drużby  
twe dłonie idą wkładać w moje dłonie;  
jest i wiewiórka, ona nasze wróżby  
zaplecie w wianek, włoży ci na skronie.

Będiesz trzymała mnie za prawą rękę  
i tak pójdziemy w progi twego domu.  
Tam czeka ojciec; widzisz tę udrekę  
w jego żrenicach śpiącą po kryjomu?

Widzisz jak matka za jego plecami  
zagryza palce i ociera oczy,  
i prosi Boga, by wraz z aniołami  
zabronił ojcu tak w tym bólu broczyć?

A on cię wiedzie ku mnie, choć się wzbrania,  
choć tak oddaje, jakby w jakie wnyki...  
matka twarz twoją welonem zasłania  
który się zmienia w chustę Weroniki.

## Lipiec 2007

Licho nas smaży na patelni lipca,  
z nieba się leje roztopione złoto,  
struny pękają na pogody skrzypcach,  
ktoś prószycy ogień. Lecz nie pytaj, kto to.

Może to jakiś posłaniec nieziemski  
roztapia lody skute w naszych duszach  
albo frigidy na balu panińskim  
tak chyżo tańczę, że kra wszelka rusza

lub Pan Bóg pędzi na rydwanie słońca  
i włócznię wbija w twoje serce z góry.  
Podдай się jemu, z ręki tego Gońca  
skruszeją w tobie chłody i marmury.



## Wiersz o bożym śnie

**T**am, w tej starej cegielni przed wieloma laty  
tamtym chłopcem nieśmiałym, co cię tknął niechcący,  
to ja byłem, a potem zrywałem ci kwiaty  
na wielu łąkach życia jak królowie śpiącej.

Myślałem, że nie wstaniesz z zaprzeczłości swojej,  
zimny sznur zapomnienia ścisnął moje gardło,  
uciekałem przed siebie od nicości twojej,  
nie było mi już kwietnie, nie było mi hardo.

Pozwalałaś przestrzeni za mną się pomnażać,  
zanim głosem skruszonym zawołałaś: wracaj!  
Obróciłem się – piekło nie umie się zdarzać,  
tak jak zdarza się starość, która przestrzeń skraca.

Role się powtarzają, dobiegniesz do mety,  
lecz nie po prostej życia, a po kole losu,  
ja będę miał przed sobą już tylko komety,  
ścigaj mnie, ścigaj, zarzuć łąso włosów

i pociągnij do tyłu mknącą brykę świata  
oraz lata zgubione. Gdzieś na wierchowiźnie  
legniemy sobie w trawie, w niebieskich zaświatach,  
Bóg położy się przy nas i z zachwyty przyśnie.

## Niekołysanka

Nad ogrodami całun mgły  
poranną kołdrą się położył,  
śpi jeszcze kogut i śpią psy,  
sen się nasilił i pomnożył.

Jeden się tylko ocknął: słowik,  
ale by do snu się ułożyć  
i zwolnić miejsce skowronkowi,  
bo ten też musi sztuką pożyć.

Słońce przebija się przez chmury,  
lecz jakieś blade tego ranka,  
jakby zasznurowane w sznury,  
mdłe – jak kochanka bez kochanka.

Skowronek w gardle trele zbiera,  
idzie mu ciężko, jak po grudzie,  
słońce szamoce się, wyziera,  
czy zdąży, zanim wstaną ludzie?

Ale i ludzie się pospali,  
leżą pokotem z głową ciężką,  
jakby głąz znoju ich przywalił  
lub śmierć dotknęła swą przylepną ręką.

Szybciej, hej, świecie!, szkoda czasu,  
wstawaj zmurszała ziemskakulo,  
dzień się odwleka, zza atlasów  
Pan Bóg się dziwi śpiącym ulom.

Lecz świat nie wstaje. Ani drgnie  
i z boku na bok się przewraca,  
przyśniło mu się w błogim śnie,  
że już nie musi na świat wracać.

## Czarne tunele

*Pamięci Zbyszka Hreczkowskiego*

Wspinałem się pod słońce do ciebie, kuzynie  
(los, choć chromy i ślepy, nikogo nie minie).

Droga wiła się węzłem po jesiennych wstęgach  
(kto przemija, ten mroku przestaje się lękać).

W twych oczach zobaczyłem dwa czarne tunele  
(kto umiera, błękitu ma w oczach niewiele).

W ustach czyhały słowa boleśnie milczące  
(tupały niczym głuszce na kwietniowej łące).

W swych wysuszonych dłoniach zaciskałeś pustkę  
(jakbyś życie ucapił za pstrokatą chustkę).

Tak mijały sekundy, minuty, kwadranse  
(wlokąc nas w ową pustkę ciężkim kontredansem).

Siedzieliśmy naprzeciw, patrząc w osłupieniu  
(ty cały w moim życiu, ja w twym nieistnieniu).

Nie mogliśmy nadziwić się sobie nawzajem  
(dwa rarogi nad życia i śmierci ruczajem).

Ale mi gdzieś ginałeś w tych mgłach, w tych oparach  
(twa bladeść się nurzała raz w jawie, raz w marach).

Teraz wracam do domu. Silnik auta wyje  
(sny są brednią, mrok – prawdą, a słońce – niczyje!).

*Leśnica. Hospicjum, listopad 2008*

## Nad przepaścią

**S**troisz mnie dziś lirycznie, stroicielko moja,  
muskasz wszystkie me nutki, wszystkie moje tony,  
aż w pył się rozsypuje cała moja zbroja,  
gdy grzeją się z rozkoszy twoje kamertony.

Po szkle twojego głosu wspinam się wysoko,  
do górskiego kryształu. Już jestem przy ustach...  
Pozwól mi, proszę, pozwól odpocząć w obłoku  
twoich oddechów. Bo niżej głucha przestrzeń. Pusta.

## Rozmowa z żoną

**J**uż między nami mumie słów struchlały,  
są jak śliweczki suszone na blasze,  
śmiech się przestraszył, a spokój jak mały  
nietoperz cicho zawisł pod poddaszem.

I książki nasze na osobnych półkach,  
sypialnie nasze na osobnych piętrach,  
czasem zapłacze się żalu pustułka  
i pohukuje niczym łotr na mękach.

W piwnicy słoje od lat przedawnione  
i balon wina już podeszły octem –  
nasze zapasy głupio roztrwonione  
i odstawione na czasu manowce.

Łyżeczki dawno zaśniedziały  
i bibeloty zaszły kurzem,  
słucham, pęknięty i niecały,  
nieistniejących w nas wynurzeń.

Staram się czasem głos wydobyć,  
ale na blasze skwierczy cisza  
i lęk zaczyna się sposobić,  
więc z głosu tylko bojaźń mysia

wybucho hukiem niesłyszonym  
niczym tunguski meteoryt,  
aby powrócić i nad ranem  
znowu odprawiać swe nieszpory.

## Cienie, głosy...

Zeszłego lata w Opatowie  
pytałaś mnie, dlaczego milczę,  
a ja z Jasińskim w Klimontowie  
dyskutowałem czasy wilcze.

Poprzedniej wiosny w Małoszycach,  
miałaś mi za złe spleen i chandrę,  
ja zaś widziałem Gombrowicza  
i jego oczy kpiąco-harde.

Pamiętasz, byliśmy w Rytwianach...  
Radziwiłłowie szli za nami;  
jesień się chłodem niosła z rana,  
i requiem słała pod stopami.

A tamten piękny tamaryszek  
gdzieś chyba w centrum Sandomierza...  
jeszcze do teraz w uszach słyszę  
jak moich przodków czas odmierza...

Nie miej mi za złe... To milczenie,  
ta nieobecność, co się zdarza,  
to nazbyt częste roztargnienie  
i dziwny dyktat kalendarza...

Chodzę wśród głosów i wśród cieni,  
i choć cię, miła, zawsze słyszę,  
jakże się przebić i przemienić  
przez ten mrok, zapaść, przez tę ciszę?



## Lato w Opocznie

*Agnieszce Balickiej-Domańskiej*

**W** lipcowe, parne przedpołudnie,  
w restauracyjce „La Toscana”  
włoskie nostalgije jakoś cudnie  
dopadły mnie jak senna mania.

Pegaz poderwał się z zieleńca  
i zaczarował to miasteczko,  
jakaś florencka turbulencja  
zawirowała na ryneczku.

Święta Cecylia i Esterka  
wzbiły się w błękit z gołębiami,  
jakby Chagall je namalował  
nad chasydzkimi bożnicami.

Dołem dziewczęta szły, kołysząc  
hamak mych czułych powidoków,  
a ja Aszantkę lub Agnieszkę  
słyszałem w echach tamtych kroków...

Gdy rozgarnąłem tumult myśli  
i galopadę asocjacji,  
poczułem spleen polskiego lata,  
tu, w opoczyńskiej restauracji.

*Opoczno, 12 lipca 2008*

## Mruczysłowa

**P**osłuchaj, jak do ciebie milczę  
i jak rozmawiam z twym milczeniem,  
i jak z watahy mojej wilczej  
wchodzę w twój step – na zatracenie.

Nakarm mnie, napój swoim cieniem,  
zanim nóż wbijesz między zębra,  
nasyć mnie kłamstwem lub złudzeniem,  
żebym o miłość już nie żebrał.

Żebym niczego nie rozumiał,  
gdy noc wypełniać zacznie oczy  
i żebym mruczysłowa szumiał  
w tym stepie, gdzie ta miłość broczy.

## Cuda

Okolica pachnie sianem,  
łąkę zwiedza rój motyli,  
czekam, może dziś nad ranem  
twoja róża się rozchyli?

Będę liczył każdy płatek,  
że aż poczniesz się anielić,  
oczy znajdą ci bławatem  
w tej sądeckich łąk kipieli.

I wzniesiemy się do nieba  
na latawcu z koniczynki,  
cali w nimfach i efebach  
ku zgorszeniu świętej Kingi.

## W Tomaszowie z Julianem

*Joannie Sztymelskiej*

**D**rogi Julianie, a może byśmy  
wpadli na dzień do Tomaszowa,  
tam przy ulicy Mireckiego  
Pan Bóg klimaty twe zachował.

Posiedzisz sobie przy ryneczku,  
przy małej czarnej, w złotej ciszy,  
poszepczesz sobie własne wiersze,  
Pan Bóg usłyszcy je, usłyszcy...

A ja Joannie zaniosę kwiaty,  
może pęk astrów lub chryzantemy,  
wsłuchaj się, wsłuchaj w gęstą ciszę,  
to Pan Bóg tworzy poemat swój niemy.

Asia się snuje opłotkiem tej ciszy  
i tęskni za mną niczym ul za pszczołą,  
więc noce miodne w tych kwiatach jej niosę,  
Pan Bóg się skarży z jej bólu aniołom.

Gdy będzie biegła przez ulicę do mnie,  
w żagiel jej włosów niech wieją twe wiersze,  
wsłuchaj się, wsłuchaj, mój drogi Julianie,  
Pan Bóg w niej zbudził to wzruszenie pierwsze.

Popatrz, jak się z jej oczu toczy  
do moich ust kropelka słońca;

kiedy ją tulę na Mireckiego,  
Bóg także trzyma ją w ramionach.

*21 lutego2007*

## Łąka za domem Sunderlandów

*Tam mój oblęd i ostoja,  
Gdzie ty szumisz, łąko moja!  
(Leśmian)*

**W** sierpniowe przedpołudnie pod ilżeckim wzgórzem  
widziałem Panią, Doro, jak ścinałaś róże.

Palce miałaś aż do krwi zranione ich sokiem  
o malinowej barwie. To tak przed wyrokiem

czasu sinieją paznokcie, oczy zachodzą cieniem,  
jakby napój cienisty sączył się milczeniem

w nasze usta. A tam już otchłań wiekuista,  
z którą zмага się każdy znikomy artysta,

z którą jak z smokiem walkę każdy stoczyć musi,  
kto wierzy, że smok mieszka w grocie jego duszy.

Ach, przegonić to ścierwo, to życie, tę plagę  
i zawiesić nad wierszem śnieżnobiałą flagę,

i otworzyć z hałasem w domu Sunderlandów  
wszystkie okna na łąkę, na bezdźwięk girlandów

uplecionych nareszcie z ciszy doskonałej,  
gdzie tylko głos dziewczyny z bólu oniemiałej

błąka się między floksy a lwimi paszczami  
oszalały z domysłów. Które już za nami.

## W czereśniowym chruśniaku

Wstawaj, wstawaj. Dzisiaj we śnie  
rwaliśmy razem czereśnie.  
W karminowej ich posoce  
pulsowała twoja tkliwość,  
w czereśniowej ich otoce  
krwią płonęła nasza miłość.  
Palce twoje – rubinowe,  
usta twoje – amaranty,  
a w moim sercu złotogłowe  
dwa cietrzewią się bażanty.  
Pierwszy chciałby sok czerwony  
wypić z dzbana twoich piersi,  
drugi – z palców poranionych  
utkać dotyk najpiękniejszy.  
Pulsuj tą czerwoną juchą,  
ociekaj bordowym sokiem,  
szedłem drogę bardzo długą,  
by, co widzę, objąć wzrokiem.  
Ach, gdyby nas teraz Leśmian  
przyuważył w tym chruśniaku,  
szepetu wydobyć by nie śmiał,  
posypałby ciszę z maku  
i na palcach, w takt tej ciszy,  
umknął, gdzie harczą myszy,  
bo on jeden wie jak przyśnić  
smak czereśni, cierpkość wiśni,  
słodkość malin, zapach miodu,  
małgorzatkość mego głodu...

## Moja kotka

**P**odnosi przednią łapkę do pocałowania,  
kiedy ją głaszczę, mruczy, przełyka słowiki,  
w trawach rzuca się na grzbiet; tarza się i ślania,  
gdy liżą ją po przegach słoneczne języki.

Kiedy idzie ulicą, kręci zgrabnie pupą,  
oglądają się za nią oczy z wszystkich dachów,  
ona ich nie dostrzega, choć pod rzesą długą  
dobrze zapamiętuje wąsidła tych gachów.

Pręży grzbiet, w łuk napina... Gdy dotknąć go dłonią,  
to elektryczne iskry strzelają w jej włosach;  
często mdleje z rozkoszy, gdy przez sen ją gonią  
czyjeś palce łapczywe... To ma kotka, Gosia.



## Koty na Bąkowie

(naśladowania Jarosława Marka Rymkiewicza)

**T**u, w mej najbliższej okolicy,  
koty się liczne snują po ulicy.

Na Zimnej, Brzechwy czy Bąkowskiej  
obnoszą z dumą namaszczenie boskie.

Chodzą w surdutach, opończach, szynelach  
i kołują jak sępy w trawy karuzelach.

Zimą łążą w walonkach, za to latem – bosy,  
karmią się w polnej kuchni, choć tu głównie proso

(po mysz sutą czy choćby marnego owada  
trzeba się godzinami niczym lampart skradać).

A na Studziennej mieszka w na pół suchych chaszczech  
kot Herod; zakrwawiona wiecznie jego paszcza;

(sam widziałem, choć pewnie nikt mi nie uwierzy,  
jak polował na stadko młodzusięnkich jeży).

Zacny jest kot Oniegin, co swojej Tatianie  
przynosi tłuste świerszcze co dzień na śniadanie,

zaś z Gąsina przychodzi kot-menel, estetyk,  
co słowika nie ruszy, bowiem anorektyk.

Jest też Żbik ze Żbikowa, herbu Ostry Pazur,  
co w oczy mej Ramony gapi się jak w lazur

i mała Behemotka, co rumieniec chowa,  
kiedy ją ktoś zapyta, czy zna Bułhakowa.

W marcu z swym fraucymerem zakładają chóry  
i ich kocia rapsodia wspina się pod chmury,

lecz co roku doliczyć nie mogą się dworu,  
z którego wciąż ubywa dostojnych seniorów;

to faraon ich chowa w piramidach z piachu,  
jak nas, gojów czy Żydów, Azjatów czy Lachów

Pan Bóg wzywa do nieba i tam wplata w sznury  
ludzkiej, kociej i wszelkiej śmiertelnej Natury.

*Pruszków, 19 grudnia 2009*

## La strada

Wije się ku nam, wije słoneczna la strada,  
toczy się wóz cyrkowy, który spłynął z nieba,  
Giulietta i Anthony – to ich eskapada  
za słowiańskim co łaska, za kromeczką chleba.

Zagraj Tony na trąbce, niech dźwięk cienki jak blaszka  
przetnie tę smutną ciszę, deszcz z obłoków wywoła,  
niech słupka stanie suseł, w locie zawiśnie ważka,  
Pan niech wyjrzy z obłoków i anioły zwoła.

Niechaj tę trąbkę wesprze chór anielski i surmy,  
ze złotokapu spłynie złota kiść słodyczy,  
Tony niech surdut włoży, Massina koturny,  
clowny niech się turlają, gdy niedźwiedz zaryczy.

Trzeba zabawić Gosię, przyjechała do miasta,  
niech przed Gosią kurtyna brokatowa się dźwignie,  
dzisiaj najmniejszy drobiazg do legendy urasta,  
linoskoczek się skłoni, baletnica się wygnie...

Pod kopułą Beskidu komet rój się pojawi,  
Poprad popłynie w górę, Margoń na garbie stanie,  
dziadek Buczek gawędą panienczkę zabawi,  
koń kucnie na zającu, a żubr na baranie.

To jest cyrk, proszę państwa, to są cuda i dziwy,  
bo Gosia dzisiaj w miasto niczym Kleopatra  
wjeżdża kwadrygą wiersza, Hucuł jurodiwyj  
bolerko z gwiazd jej wkłada, płonie pierwsza watra.

Wieczór schodzi powoli z gór jak ranny Janosik,  
czarny łabędź pod pływa do Małgosi przystani,  
wsiaǳ proszę, drogie dziecko, w moich skrzydeł koszyk,  
pofruniemy oboje tam, gdzie nikt cię nie zrani.

I znikają w obłokach po niebiańskiej la stradzie,  
w dali niknie głos trąbki cieniuseńki jak blaszka;  
Quinn dmie w ustnik bezsilnie, baletnica się kładzie  
na błękitnym dywanie i zastyga jak ważka.

## Faust pisze do Kolumba

Ciało jej – Ameryka, piersi – Kalifornia,  
pośladków dziki kanion niczym Colorado,  
ud pasma pieści passat, a jego symfonia  
jak El Niño rozgrzewa bizonów mych stado.

Krzysztofie, mój rywalu, pozywasz mnie w szranki,  
więc wybieram broń twoją, porywczą fregatę,  
pościgajmy się tedy, gdzie morskie bałwanki  
baraszkują z delfinów radosnym sabatem.

Twoja Santa Maria zachwyca młodością,  
smągłym profilem burty i masztu filarem,  
moja Santa Utopia cierpi na ból w kościach  
i walczy coraz słabiej z żywiołu koszmarem.

Wiem, że dobijesz pierwszy do jej stromych brzegów,  
wiem, że porzecz zatkniesz na wzgórku jej łona,  
lecz uważaj, bo zanim wypchniesz mnie z szeregu,  
zwycięży ma cierpliwość, a twa krzepkość skona.

Wezmę ją więc w ramiona i uniosę w nicość,  
że będziesz jak Orfeusz brnął w obce zaświaty,  
a my już poza czasem i światłem. Na litość!,  
albo daj jej coś więcej lub przynieś mi wiatyk...

## Bajka o czarnym kruk, duszy Fausta i uratowanej Małgosi

Czy widzisz ten cień straszny nad lasem z legendy,  
niepokój starych dębów, popłoch wśród wiewiórek,  
to śmierć, rycerz i diabeł fruną w końskie pędy,  
sam Dürer ich namotał na różańca sznurek.

Król Olch biegnie za nimi, unosząc w ramionach  
dziecię skomlące cicho nie z głodu, lecz z trwogi;  
Werter pomyka chyłkiem, Brunhilda złąkniona  
i Nibelungów woje, i germańskie bogi,

bowiem powiało śmiercią, odorem starości,  
gdy cień skrzydła rozpostarł, gdy las się poruszył,  
gdy to czarne kruczydło wleciało w swe włości,  
podobne kropka w kropkę do Faustowej duszy.

Snuj się szwabska legendo Mozela i Renem,  
Schwarzwaldem i Tyrolem, całą Brandenburgią,  
tylko mojej Małgosi w skałę mi nie przemień,  
tylko mi jej nie zatruj teutońską liturgią.

\* \* \*

**N**ie wiem, czy Małgorzata jest ciałem czy cieniem  
i dlaczego się wdarła w moje nieistnienie.

Nieistnienia nie można otworzyć kluczykiem,  
raczej głośnym milczeniem, raczej bezdotykkiem,

więc kiedy mnie dotknęła cofnięciem swej ręki,  
poruszyła lawinę faustowskiej udreki,

więc kiedy mi uciekła w bezludną część nocy,  
przyszli do mnie z pociechą ciemności prorocy

i powiedzieli: skowycz, tylko skowyt słyszy  
audiokrator bezgłosu, rezonans twej ciszy,

wykrzycz więc w nią, w tę ciszę, w jej głębię, do środka  
wszystko, co z Małgorzatą nigdy cię nie spotka

i przestań czekać na to, co stać się nie może  
i co istnieje jako nieistnienia wzorzec.

## Ogrody

*A na niebie chmur struktura,  
taki ogród Epikura...*

(Jarosław Iwaszkiewicz)

Czasami się wpatruję w podniebne ogrody,  
do których od mojego pną się strome schody.  
Tamte Semiramida zsyła na mnie z góry,  
mój trzyma się przy ziemi i wbija pazury

w liche piach, mierzwę chwastów i słońca spiekotę,  
która wszystko, co żyje, powala pokotem,  
lecz zdarza się czasami i repetytorium,  
kiedy deszcze uderzą w bęben oratorium;

wtedy roślinność pisze klasówkę z istnienia  
i udaje, że susza niczego nie zmienia.  
W ogrodzie Epikura już szła ta opera:  
kto żyje, nie ma wiedzy, jak będzie umierał.

Zaś w ogrodzie Woltera każdy ma Imperium  
Stoicyzmu. Tu żadne infernum  
pogody pogodzenia z losem nie zakłóca,  
kłós umiera, lecz z kłosa ziarno się wymłóca.

W pudełeczku mam stare, zblakłe fotografie  
i wzruszenia powstrzymać nigdy nie potrafię,  
gdy widzę na ławeczce w Ogrodzie Tuilerie  
ojca, tam, w tej zielonej, paryskiej galerii;



wszystko zaszło już sepią, zarosło blekotem,  
a on siedzi jak siedział pod liści namiotem;  
póki żyje ten ogród, on też jakoś żyje,  
choć jego świat już minął, dni jego – niczyje...

Widziałem też ogrody watykańskie, chińskie,  
tam kręciło się świata wieczne koło młyńskie,  
bo drzewa, trawa, kwiaty i pszczoł baleriny  
choćefemerydy, jednak evergreeny,

więc skoro świat butwieje, może się odradza,  
jak ogród w kwietniu? Jakaś dziwna władza  
odkręca krany z wodą, podnosi żaluzje,  
jakby nam słał Epikur wymowne aluzje

lub Eol chmury gonił z niebytu do bytu,  
z których spada w ogrody deszcz aleksandrytów  
i zazielenia sensem śmiertelną pustynię,  
gdzie chociaż każdy umrze, to jednak nie minie.

## Ciemko

**S**koro istnieje ciemność, to jest także ciemko. Ciemko to jest w ciemności niewielkie okienko, ono zjawia się w oczach, gdy ciemność zapada i zatruwa nas ciemną aurą listopada.

Może gnieździć się w sercu, a może w ciemiączku, może jak ćma przysiądzie na twoim ramięczku, lecz uważaj: zazwyczaj jest to trupia główka, która potrafi uspić jak opium w makówkach.

Ciemko to jest ladaco, szkodnik i złe lichy, w duszy ściele się skrycie, po ciemku i cicho, z czasem kładzie się mrocznym liszajem na jaźni, karmi się niepogodą ludzkiej wyobraźni.

Nie masz na niego siły ni innych sposobów, okradnie cię ze wszelkich witalnych zasobów, zaćmę na dwoje oczu jak całun położy i wtedy ciemność w tobie zacznie się barłóżyć.

## Nigdy

**N**igdy – to szmat czasu. Tam nie ma zegarów,  
obca jest tak nam znana trajektoria słońca,  
nikt tam nigdzie nie pędzi jak sfora ogarów,

las nie zna granic, rzeka nie ma końca,  
wszystko jest pozbawione początku i kresu,  
sekundy człapią chromo niczym kulejąca

forpoczta gnuśnych minut. Cicho, bez rwetesu,  
ogrom niebycia wiecznie się powtarza  
w nawrotach beznadziei pozbawionej stresu.

Tam co się zdarza, nigdy się nie zdarza,  
nic nie dzieje się wolno ani też niezwłocznie,  
nie zabieraj tam z sobą, miła, kalendarza...

Gdy już w końcu tam będę, nadeślę ci pocztę  
poleconym ekspresem przez jakiegoś gońca,  
ale kto wie na pewno, kiedy ona dotrze?

Lecz nie zwątp i wypatruj – w wieczność ufająca...

## Dance macabre

**P**rzyjdź do mnie we śnie, niespodziewana;  
najpierw złap w siatkę motyla oddechu,  
potem skuj lodem rzeczki krwi; do rana  
saniem wywieź duszę zmytą z grzechów.

A potem niechaj komornicy twoi  
czynią z urzędu, co do nich należy;  
gwiazd fajerwerki gasną w oczach moich  
i jak słoń składam kości w twojej wieży.

Włosy weź sobie, oczy wygaszone,  
kości rozegraj rezonansiem z tykwy,  
na dno nagości niechaj wypłoszony  
spadną jak starzec wchodzący do mykwy.

No więc tańczujmy walca lub oberka,  
twista i menueta z pogrzebaczem,  
popatrz: z ukosa Bóg dyskretnie zerka  
i pyta, czy mu niebycie wybaczę?

Mam jedną prośbę: gdy dotkniesz, niesyta,  
psy moje, koty, pokój, gdzie jest wnęka  
z półkami książek... Z nimi się nie witaj,  
może pożyją w czyichś czułych rękach...

## Folwark zwierzęcy

**B**racia mniejsi, wybaczcie nam, waszym herodom,  
za to, co wciąż czynimy koniom, psom i kotom,  
rybom, królikom, świniom i innej zwierzynie,  
której krwi Amazonka przez ten padół płynie.

Wybaczcie te łańcuchy, chlewy i szlachtuzy,  
w których was ćwiartujemy na krwawe arbuzy,  
nasz świat to wasze Auschwitz – tu tylko szpicruta  
i prąd was pieści w elektrycznych drutach...

Męka wasza bezpańska, głód, zimno, bezdomność,  
Orwell? On się pomylił, pisząc, że ułomność  
ludzka ma wasze kły, pazury oraz obyczaje...

A Bóg milczy! I w waszej obronie nie staje.

## Łańcuch pokarmowy

Świat to ogromna paszcza; och, wiecznie niesyta,  
w jej przepastnej gardzieli i sinych fiszbinach  
znika plankton istnienia, pióra i kopyta,  
woda, trawa i drzewa, nawet dym z komina.

Świat się żywi i trawi, by ustać na nogach,  
a my na jego obraz czynimy to samo,  
bo najgorsza jest jednak ta śmiertelna trwoga,  
by nie stanąć przed Głodu Wiekuistą Bramą,

za którą tylko Pan Bóg. On łańcuch zamyka  
i sytym okiem patrzy na swoją oborę,  
tuczy nas nadziejami i za chmurą znika,  
aby prawdę zagłuszyć swej rzeźni motorem.

## Przestroga

*Lasciate ogni speranza voi ch'entrate*  
(Dante)

**R**zućcie wszelką nadzieję, którzy tu wchodzicie,  
których jeszcze tu nie ma, lecz się narodzicie.

Piekle nie ma po śmierci, piekło jest na ziemi,  
suche szczapy ciał waszych płomieniami swemi

pochłania i płoniecie jak żywa pochodnia,  
jak spadająca gwiazda, która zblaknie do dnia,

wlokąc iskry rozpaczy i pożogę serca  
w kaskadę ciemnych godzin, w kulawy rytm scherza,

a po drodze odpada ta kosmiczna mika  
– meteoryt nadziei – i w bezkresie znika,

i eksploduje pustką, a w miejsce tej próżni  
nic już się nie pojawia, nic już was nie różni

od ziarna zmielonego w wielkim młynie świata,  
gdzie mękę zjada demiurg, a otręb wylata

poza granicę sensu, poza przeznaczenie,  
w którym czasu ni miejsca na wasze istnienie,

więc zanim pokochacie to życie nad życie,  
rzućcie wszelką nadzieję, którzy tu wchodzicie.

## Semiotyka

**Z**a światem leży zaświat. Za ścianą zaścianek,  
za ciemnością – Ciemnogród, a przed wianem – wianek.

Wszystko ma swój przedsionek i swoje zaplecze,  
i zlewa się we wspólne, rozległe dorzecze.

Przedrostki i przyrostki, rdzenie i morfemy,  
choć o tym na co dzień zupełnie nie wiemy.

Bo trzeba by w języku szperać niczym w maku,  
aby znaleźć haczyki semantycznych znaków.

A gdy rozum cię zwiedzie na znaczeń rozstaje,  
zatrzymaj się i pomyśl, kto te znaki daje.

Na początku jest cisza, potem zaskoczenie  
zadziwione jej sensem oraz przeznaczeniem.

W systemie znaków brak znaku jest znakiem,  
nie próbuj go ominąć wykrętu zygzakiem.

Idź po nitce do kłębka jak po złote runo,  
aby świat w swej niemocie na ciebie nie runął.

Abyś wychodząc z słowa na samym początku,  
dopisał nowy wątek do znanego wątku.

Tak poszerzamy przestrzeń, w której ogromnieje  
dom naszego istnienia. A nicość maleje.



## Wielka Partytura

*Ehej, jak gwałtem obrotne obłoki  
I Tytan prędkie lotne czasy pędzą...*  
(Mikołaj Sęp Szarzyński)

**S**koro Bóg nie istnieje, a jednak istnieje,  
to może także z nami podobnie się dzieje?  
Proch, który po nas na zawsze zostanie,  
użyźnia przecież wieczne świata odradzanie;  
będziemy w molekułach i drobinkach żywnych  
powiększali odwieczny gmach żywej ojczyzny;  
wiatry nas rozwiewają, lecz kosmosu gąbka  
wchłonie pył; może deszczem poczniemy przesiąkać  
w glebę, w której wymiana witalnej waluty  
pokryje świat zielenią; los nie jest zasnuty  
bezcelowością ni innym nonsensem,  
raczej reinkarnacji chemicznym suspensem;  
na pewno o tym, rzecz jasna, nie wiemy,  
ale dowiemy się, dowiemy...

Bóg-Dyrygent nam pisze Wielką Partyturę,  
a my, niemi i głusi, śpiewamy ją chórem,  
zaś Jakub nam podsuwa pod stopy drabinę,  
po której, gdy się wspinasz, nigdy nie przeminiesz.

## Lekcja etyki

**S**chody aż świergotają, gdy biegną do dołu,  
w górę zaś pną się ciężko i sapią z mozołu;

ty też pniesz się pod górę jak po twardej grudzie,  
choć spadasz błyskawicznie, tak jak inni ludzie.

Życie to wyboista, śliska serpentyna,  
która często drabinę wiotką przypomina;

prędzej połamiesz sobie kark, ręce i nogi,  
zanim nauczysz się tej stromej drogi,

lecz to spadanie, to podnoszenie,  
to jest z etyki szkolne ćwiczenie.

## Droga

**D**roga biegła pod górę, aż zgubiła nogi  
i musiała zatrzymać się w połowie drogi.

Bolały ją kolana i kłuło w poboczu,  
i myślała: – A niech mi ten marsz zejdzie z oczu!

Przysiadła na rozdrożu i łyknęła wody,  
bo akurat nadeszły mżawki, potem słoty.

Za zakrętem wyrosła strzelista topola,  
droga do niej: – Niech Pani cofnie się w głąb pola...

Tak brnęła, kuśtykała, pięła się pod górę,  
mimo że wciąż wpadała z jednej w drugą dziurę

lub na wybojach sobie kaleczyła nogi,  
ale trudno – to jest codzienność dla drogi.

Droga wiecznie iść musi, to jej racja stanu,  
więc ty także nad swoją drogą się zastanów.

## Ars poetica, § 1

**C**hciałbym przebytą drogę  
rozwinąć jak papirus  
i wykreślić te słowa,  
które pisałem na wyrost.

## Od Autora

Często prowadzę z młodymi autorami tzw. warsztaty poetyckie. Mówię im wtedy, żeby raczej unikali wierszy rymowanych, bo na nie, po Skamandrytach i po Awangardzie, już nie ma miejsca w literaturze. A równocześnie zachęcam, by jednak pisywali sobie takie wierszyki w brulionach, do szuflady, jako „ćwiczenie warsztatowe”, bo nic lepiej nie uczy dyscypliny słowa niż wiersz rymowany, zwłaszcza sylabotoniczny.

Sam bardzo lubię rymować, co traktuję jako swoisty „solfeż” i po prostu zabawę. We własnym brulionie mam немало fraszek, limeryków, a nawet obscenów i „słówek” na Boyowską modłę. Pisałem je bez zamiaru drukowania, raczej na użytek towarzyski i biesiadny. Kiedy niedawno przyjrzałem się wszystkim moim rymowankom, pomyślałem, aby zaryzykować i ich część „pokazać światu”. Może te satyryczne wydrukuję przy innej okazji; nie pasowałyby one do tych poważniejszych, zaprezentowanych w tym skromnym, świadomie staroświeckim i „naiwnym” zbiorze.

Mimo tego, co napisałem powyżej o wierszu rymowanym – nadal w niego wierzę. Tę wiarę podtrzymują we mnie publikacje poetyckie niestroniące od tradycyjnej formuły, które bez końca się zdarzają. Uwielbiam wciąż – by nie sięgać poza wiek XX – Leśmiana, Tuwima i Gałczyńskiego, cenię Broniewskiego, zaczytywałem się „na śmierć” w Tadeuszu Nowaku, Grochowiaku itd. Dwie książki poetyckie, genialnie „reanimujące” rym, trzymam zawsze w zasięgu ręki – to

*Mapa pogody* Jarosława Iwaszkiewicza i *Zachód słońca w Milanówku* Jarosława Marka Rymkiewicza...

Tu, Czytelniku, znajdziesz ślady tych fascynacji, pełne kryptocytatów, czasami aż pastiszowe... Proszę ten tomik przyjąć jako „ciekawostkę”. Poza tym nie mam nic na swoją obronę.

Większość pomieszczonych tu wierszy nie widziała dotychczas światła dziennego; były pisane w różnych latach; tylko pięć tekstów z tego zbiorku ukazało się w moich wcześniejszych tomikach.

*Leszek Żuliński*

# Spis treści

Artyści .....	5
Rana wiersza .....	7
Żniwa .....	8
Psie gwiazdy .....	9
Koniec lata .....	10
Sonet .....	11
Canzona czarna .....	12
Wielkanoc 2007 .....	13
Psalm weselny .....	15
Lipiec 2007 .....	16
Wiersz o bożym śnie .....	17
Niekołysanka .....	18
Czarne tunele .....	20
Nad przepaścią .....	22
Rozmowa z żoną .....	23
Cienie, głosy... ..	24
Lato w Opocznie .....	25
Mruczysłowa .....	26
Cuda .....	27
W Tomaszowie z Julianem .....	28
Łąka za domem Sunderlandów .....	30
W czereśniowym chruśniaku .....	31
Moja kotka .....	32
Koty na Bąkowie .....	33
La strada .....	35
Faust pisze do Kolumba .....	37
Bajka o czarnym kuku, duszy Fausta i uratowanej Małgosi .....	38

* * * (Nie wiem, czy Małgorzata jest ciałem czy cieniem...)	39
Ogrody	40
Ciemko	42
Nigdy	43
Dance macabre	44
Folwark zwierzęcy	45
Łańcuch pokarmowy	46
Przestroga	47
Semiotyka	48
Wielka Partytura	49
Lekcja etyki	50
Droga	51
Ars poetica, § 1	52
Od Autora	53